№ 30.

Warszawa, dnia 25 Lipca 1863 r. 13 Lipca.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w **Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

ELEKCJA I KORONACJA
AUGUSTA III.

Przysłowia i przypowieści nie zawsze prawdę mówią, dowodzi tego znane powszechnie:

Za króla Sasa,
Jedz, pij i popuszczaj pasa.

Z wyrażenia bowiem tego sądzićby należało, że za Sasów Polska była jak w raju szczęśliwa, spokojna, bogata, o obfitéj spiżarni i pełnéj piwnicy, bez przeszkody używająca owoców swéj pracy i zamożności. Błędne to pojęcie czasów saskich wcisnęło się nawet do historji, w któréj utarło się niejako zdanie, że obudwu Augustów Saskich, Sasi kochali jak ojców, a Polacy czcili jak łaskawych panów i mądrych rządców wolnego narodu. Tymczasem jeżeli nieszczęśliwe było dla Polski panowanie Jana Kazimierza, to w skutkach dwakroć nieszczęśliwsze stały się oba panowania Sasów, i narodowi przypiekły, jak to mówią, do żywego.

To też zaraz po śmierci pierwszego Sasa, w d. 1 Lutego 1733 roku nastąpionéj, naród zrozumiawszy, że przyczyną przybytku nieszczęść, była obca narodowość króla i sprowadzone przez niego wojsko; na sejmie konwokacyjnym, rozpoczętym w dniu 27 Kwietnia 1733 roku, stany Rzeczypospolitéj zobowiązały się do obrania jedynie Piasta, to jest Polaka, katolika, żadnych państw ani prowincji i wojsk swoich za granicą nie mającego. Aby zaś postanowienie to ściśle zostało wykonane, obowiązali się przysięgą do tego wszyscy obecni senatorowie świeccy i duchowni, ministrowie, urzędnicy i oficjaliści koronni jak litewscy i także wszyscy posłowie.

Panowanie więc Augusta II, musiało narodowi porządnie dać się we znaki, skoro za warunek położono dla przyszłych kandydatów, znajdowanie się w innych zupełnie od Sasa warunkach. Wypadki, jasno wykazały, że w tych głosach wołających Piasta, naród posłuszny wewnętrznemu poczuciu, szedł za głosem Bożym, i gdyby go nie

sprowadzono z drogi, byłby doszedł do rozwoju wszystkich sił swoich, do czego jedynie dążył, Ale skrytych zamiarów Boskich nikt przeniknąć nie zdoła, co się stało, tego niczém nie odrobi, a jeżeli tylko przeszłość powołamy za nauczycielkę to i przebyte nieszczęścia bez korzyści dla kraju nie pozostaną.

W pierwszych chwilach bezkrólewia syn zmarłego króla Fryderyka Augusta, dowiedziawszy się o postanowieniu Stanów Rzeczypospolitéj, wyłączającém od elekcji wszystkich kandydatów cudzoziemców, a tymbardziéj posiadających swoje kraje i wojsko, okazywał zupełną obojętność w staraniu się o uzyskanie korony polskiéj. Ale wprędce przyszły namowy małżonki jego, córki cesarza Józefa, i obietnice Anny imperatorowéj rossyjskiéj, dostarczenia posiłków, gdyby syn zmarłego króla powziął zamiar uzyskania korony polskiéj. Gdy stronnictwa jedne, trzymały się ślepo postanowienia sejmu konwokacyjnego, drugie przeciwnie, kandydatów przez dwory wiedeński i petersburgski polecanych, wtenczas August syn zmarłego króla zaprzątnął się szczerzéj około tronu i ze sprzyjających sobie okoliczności pomimo wyraźnego zapadłego prawa, postanowił korzystać, a poparty protekcją wielu magnatów, dał powód do wkroczenia wojsk obcych, których dowódzca Jenerał Lascy wydał manifest oświadczając, iż wejścia jego nie inny jest cel, tylko utrzymanie wolności polskiéj.

Na sejmie elekcyjnym, rozpoczętym w dniu 25 Sierpnia, pomimo tego zapewnienia, wniesiono żądanie wykonania przysięgi przez sejm konwokacyjny nakazanéj, i dania objaśnień o przyczynie wkroczenia do kraju obcego wojska. Ztąd powstały żywe bardzo rozprawy, a gdy oskarżono księcia Michała Wiśniowieckiego o sprowadzenie wojsk obcych, ten rozgniewany ustąpił na Pragę, a w parę dni potém, pośpieszył za nim Hozjusz biskup poznański, Małachowski starosta opoczyński, ośmiu wojewodów, pięciu kasztelanów, domagając się wyraźnie u Jenerała Lascy, wsparcia wyboru elektora saskiego na polskiego króla.

Kiedy to się dzieje na sejmie, przychodzi list od króla francuzkiego, zalecający na króla Stanisława Leszczyńskiego, który niebawem przebrany za kupca prześliznąwszy się przez Niemcy, w d. 9 Września przybył do Warszawy. Rozpoczęła się więc zaraz narada między senatorami, na któréj postanowiono poprzéć wszelkiemi siłami wybór Stanisława, aby tym sposobem bezpowrotnie odsunąć kandydaturę Sasa. W myśl więc tego postanowienia, prymas w dniu 11 i 12 Września zaczął objeżdżać województwa, zalecając do tronu Stanisława. Szlachta prawie jednomyślnie wybór ten przyjęła, oprócz małéj liczby, która zgadzając się na Piasta, żądała jedynie dla uniknienia zawikłań, aby kto inny, a nie Stanisław Leszczyński był obrany królem polskim.

Poznawszy taką jednomyślność w narodzie, co do wyboru Stanisława, bo przeciwne głosy jako w małéj liczbie nie miały żadnego prawie znaczenia, chciano już przystąpić do nominacji i ogłoszenia, ale zrobiono uwagę, że w tak ważnym akcie należy powołać do zgody panów znajdujących się na Pradze. Posłano więc deputację, ale gdy wzniosły się powszechnie żądania jak najśpieszniejszego ogłoszenia Stanisława Leszczyńskiego królem polskim, zaczęto niemi naciskać Prymasa, ten ulegając konieczności, nie czekając powrotu deputacji, w dniu 12 Września o godzinie 4 z południa, Stanisława Leszczyńskiego ogłosił królem polskim i wielkim księciem litewskim. Przyspieszenie to ogłoszenia, wielu magnatom ulegającym tylko powszechnemu życzeniu, a mającym zawsze nadzieję zawikłania elekcji, naturalnie nie spodobało się, czém powodowani biskup krakowski i wojewoda sandomierski wraz ze stronnikami swemi przenieśli się natychmiast na Pragę, i wydali manifest przeciw zaszłéj elekcji, potwierdzając go podpisami tak swemi, jak i tych panów, co poprzednio z biskupem Hozjuszem opuścili sejmujące koło.

Sprzeciwienie się tak zuchwałe ogólnéj prawie woli narodu niezmiernie szlachtę oburzyło, i podnieciło nienawiść ku protestującym, tak dalece, że stało się powodem gwałtu na nich i napaści, jakich unikając pojechali do Węgrowa, aby tam mogli bezpieczniéj oczekiwać przybycia wojsk obcych.

Tymczasem król Stanisław spodziewając się przeciągnąć na swą stronę małą liczbę niechętnych, którzy wbrew woli całego narodu chcieli działać, i narzucić mu to, co on stanowczo potępił, w dniu 21 Września przystąpił do złożenia przysięgi na *pacta conventa*. Ale upór panów był nieprzełamany i doczekawszy się wreszcie posiłków wyglądanych przez siebie z taką niecierpliwością, wyruszyli z dwudziestoma tysiącami obcych żołnierzy prosto ku Warszawie, aby opanowawszy stolicę, włożyć koronę na głowę nie lubionego przez naród Sasa.

Król Stanisław mając przy sobie wojska polskiego tylko osiem tysięcy, nie czując się bezpiecznym w stołecznym grodzie, obronę Warszawy powierzył Józefowi Potockiemu i Janowi Tarle, a sam z prymasem, posłami francuzkim, szwedzkim i z wielu innemi przychylnemi sobie, przeniósł

się do Gdańska, postanowiwszy tam czekać dalszego biegu wypadków. W dniu 29 Września, Warszawa po drugiéj stronie Wisły, ujrzała obce szeregi, załoga stolicy wystąpiła do obrony przeprawy, lecz pomimo długiéj i dzielnéj walki nie mogąc się oprzéć przeważającéj sile, cofnęła się aż do Piaseczna. Protestujący senatorowie w liczbie piętnastu, i sześćset przytém szlachty, wsparci wojskiem obcém, owładnąwszy stolicą, zgromadzili się natychmiast pod wsią Kamieniem, wsławioną pierwszą elekcją Henryka Walezjusza, i tam, pod laską Ponińskiego Antoniego, złożono elekcją, wybór Stanisława uznano za nieprawy, i obrano królem Augusta III, którego ogłosił Stanisław Hozjusz biskup poznański. Dla doprowadzenia zaś wybrańca do tronu, zawiązano konfederacją pod dyrekcją tegoż samego Ponińskiego, jakby na przekor podobnejże konfederacji zawiązanéj w Dzikowie pod laską Adama Tarły, na korzyść wybranego Stanisława Leszczyńskiego.

Przed ustąpieniem Leszczyńskiego z Warszawy, radzono mu, aby zbuntowanych senatorów siłą przymusił do posłuszeństwa woli narodu uznającego go za swego monarchę, ale Stanisław pełen dobroci serca, nie chcąc pierwszym być w wojnie domowéj, odrzucił mądrą radę, i po raz drugi królestwo jego skończyło się na ogłoszeniu. Tak więc dwóch królów razem w Polsce zostało zainstalowanych. I gdy jeden z nich, Stanisław z wierném gronem prawdziwych miłośników kraju, dąży ku Gdańskowi, aby się zasłonić przed niebezpieczeństwem, drugi niecierpliwie w Saksonji oczekuje wieści z Polski, mających mu donieść, że jego intrygi pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem, i on wbrew powszechnemu życzeniu królem polskim ogłoszony został.

(d. c. n.)

ROZMOWA Z SERCEM.

Z lekką chmurką w licu zbladłem,
Gdzie się drobna łezka skrada,
Siadło dziewczę przed zwierciadłem,
I coś myśli, i coś bada.

A w około piękne szaty,
W różnych kształtach rozwinięte,
Lekka gaza, wstęgi, kwiaty.
Leżą przy niéj ani tknięte.

O! mój Boże, w końcu powie,
Czyż tak wielkie winy moje,
Że gdyś dał mi młodość, zdrowie,
Ja się bawię, ja się stroję?

Czyż to czyn już tak niegodny,
Czyż mnie przeto błędy mażą,
Że strój brzydki i niemodny,
Nie chce z mą się zgodzić twarzą?

Tyś tak piękna rozlał wiele,
W każdéj trawce, w każdym kwiecie,
Czyż więc grzech już mam w udziele,
Gdy chcę piękną żyć na świecie?

Pytam głowy, ta jak głucha,
Aż mnie wiedzie do rozpaczy,
A w niéj taka zawierucha,
Że aż nie wiem, co to znaczy.

Moje serce! moje złote!
Pozwól niechaj ciebie spytam,
Może w tobie na tęsknotę,
Jaką radę dziś wyczytam.

Cyt! cyt! otóż serce puka,
Zaraz, zaraz, słucham pilnie,
Kto w niém tylko rady szuka,
Temu poda ją niemylnie.

Otóż mówi: Pókiś młoda,
Blask świeżości sam cię stroi,
Suknia grzechu ci nie doda,
Bo młodości wdzięk przystoi.

Lecz pamiętaj, kto w udziele,
Wziął na ziemi piękne ciało,
Temu jeszcze wiele, wiele,
Czynić w życiu pozostało.

Nierozdzielnym tu łańcuchem,
Bóg połączył władze twoje,
Niechże ciało równo z duchem,
Dzieli wdzięki, dzieli stroje.

Doskonałość twéj istoty,
Niech dojrzewa światłem błogiem,
Strój się pięknie, wzrastaj w cnoty,
I przed ludźmi i przed Bogiem.

Teraz wiem, dziewczyna rzekła,
Dzięki serce, druhu stary,
A po licu łza jéj ściekła,
Chrzcząc w duszy zacne zamiary.

Tak skończywszy dzienną wojnę,
Odzyskało dziewczę siłę,
Mknąc przez życie, ślicznie strojne,
Drogie ludziom, Bogu miłe.

E. Leja,

---

* * *

Kiedy Wystawa przemysłu całego świata w Londynie otwartą została, doniosłem że pomiędzy wielu wyrobami przez naszych fabrykantów dostarczonemi znajdują się także narzędzia służące do uprawy roli, ulepszone i pomyślane przez pana Romana Cichowskiego, właściciela dóbr Linów w powiecie Sandomierskim. Narzędzia te po odbytéj próbie w obec specjalnie wyznaczonéj komisji, uznano jak już wiadomo, za bardzo dobre i praktyczne, a konstruktora ich p. R. Cichowskiego ozdobiono medalem, który nadesłany już został razem z innemi listami pochwalnemi do Warszawy.

Medal ten odlany z bronzu, przy stosownéj grubości, ma trzy cale średnicy. Na jednéj stronie znajduje się alegoryczne wyobrażenie rozdawania nagród. Na tronie którego poręcz stanowi koło fortuny, siedzi niewiasta w rzymskim stroju, z chełmem na głowie, z wieńcem w ręku, a u stóp jéj jako godło Anglji, leży lew trzymający trójząb w przednich łapach. Przed niewiastą tą, znajdują się trzy inne: jedna w bogatym stroju z perłami na szyi, klęczy, trzymając w ręku wzór bogatéj wzorzystéj materji, a wkoło niéj stoi monstrancja, kielich, i inne wyroby złotnicze. Osoba ta zdaje się wyobrażać rękodzieła i kunszta. Druga postać niewiasty, zaledwie osłonięta jakąś togą, trzyma w ręku kłosy, przedstawiając rolnictwo; trzecia zaś cokolwiek z tyłu, w jednéj ręce trzyma prasę, drugą opiera się na kole trybowém od maszyny, i ta zdaje się wyobrażać przemysł fabryczny. Za tronem stoją jeszcze trzy niewiasty, ciekawie przyglądające się przedstawienym płodom.

Na odwrotnéj stronie medalu, w grubym wypukło odbitym wieńcu z liści dębowych, znajduje się napis: 1862 Londini Honoris causa; w otoczeniu zaś: R. Cichowski Class IX, to jest numer klassy, do któréj wszystkie narzędzia rolnicze i maszyny policzone zostały.

Trzeba wiedzieć, że narzędzia rolnicze wynalazku p. R. Cichowskiego, zanim nagrodę przyznaną sobie miały, musiały wprzód współubiegać się z wyrobami podobnemi niemal świata całego. Walka więc była niezmiernie trudną, i tym bardziéj cieszyć nas powinien, że zwycięzko wypadła dla cudzoziemca i do tego Polaka, który o własnych siłach bez protekcji i szczegółowéj opieki nie wahał się do niéj wystąpić. Uznanie więc to czyni prawdziwy zaszczyt p. Cichowskiemu, a tém samém i całemu krajowi, ciesząc nas jednak smuci zarazem, dlaczego te narzędzia p. Cichowskiego u nas równie osądzone nie zostały kiedy był czas i pora po temu? Dlaczego nie mógł doprosić się z niemi stosownéj próby, i dlaczego przedstawiony przez niego projekt do urządzenia jéj, z wyłożeniem zasad, jakich przy ocenianiu delegacja trzymać się winna, niby przyjęto, niby pochwalono, niby wreszcie zajęto się jego wykonaniem, a w końcu skończyło się wszystko na niczém?

Obszerną odpowiedź na to zostawiam na późniéj, to tylko powiem, że gdyby w osobach, które mogły i powinny były pracę pana Cichowskiego właściwie ocenić, mniéj było pychy i zarozumienia, gdyby przyznawszy się do niekompetentności, chciały sięgnąć troszkę niżéj po prawdziwe znawstwo i praktykę, p. Cichowski nie potrzebowałby ze swemi narzędziami podróżować aż do Londynu, ale tu na miejscu, przez własnych ziomków, właściwie w pracy swéj zostałby osądzony i przyznaném byłoby mu to, co mu przyznał Londyn a przedtém Bruksela. Zdatnych bowiem u nas rolników, prawdziwie naukowo i praktycznie wykształconych nie brakuje, tylko brakuje w wielu razach dobréj woli, a przede wszystkiém gotowości do złożenia miłości własnéj na ofiarę dobra publicznego. Gdyby nie to, byłoby u nas inaczéj w wielu razach, a nie tak tępo, leniwo i nudząco, że nieraz aż rozpacz ogarnia człowieka. Chęci dobrych nie brak, tylko te nieszczęśliwe *ja*, wiecznie głowę pragnie wznosić nad drugich, żeby go choć na chwilę, zobaczono, pochwalono i roztrąbiono, jeżeli nie po całym świecie, to przynajmniéj w kółku domowego ogniska. Cichych zaś cnót, szukających nagrody we własném tylko sumieniu, i w zadowoleniu serca przekonanego o spełnieniu obowiązku względem kraju i ludzkości, choć może mamy więcéj jak inni, nie tyle jednak ile koniecznie potrzeba.

W Sztokholmie, rozdanie nagród nadeszłych z wystawy Londyńskiéj, odbyło się z ceremonją bardzo poważną i uroczystą. Król przewodniczenie w zebraniu polecił bratu swemu księciu Oskarowi, przeznaczając na to, dla nadania większego blasku, dzień swoich urodzin. Wielką salę bursy w tym celu przyozdobiono chorągwiami i trofeami, wyższe siedzenie zajęli urzędnicy w świetnych mundurach, kobiety, krewni przyjaciele i rodziny tych, co mieli odebrać nagrodę za pracę i trud, przyznaną im przez Komisją Wystawy Londyńskiéj. O godzinie pierwszéj wszedł książę Oskar, muzyka wojskowa odgrywająca ciągle wyborowe sztuki umilkła, a po powitaniu zgromadzenia, przewodniczący książę odczytał mowę, wspomi-

nając w niéj o projekcie urządzenia wystawy skandynawskiéj, powziętym przez towarzystwo przemysłowe, która zbliży ludy bratnie i zwiąże je nowym węzłem, nie dawno jeszcze rozdzielone najstraszniejszą nienawiścią.

Po ukończeniu mowy przystąpiono do rozdania nagród, każdego uwieńczonego przyjmowano oklaskami, hucznemi głosami uwielbienia, i szumnym odgłosem trąb i innych narzędzi muzycznych. Uroczystość ta zrobiła silne wrażenie na uczestnikach, a radując ich nadzieją przyszłych zdobyczy cywilizacji, rozradowała nawet niebieskie przestwory rozwieszone nad całą Szwecją, które zwykłe ponure, zamglone i jakby przysłonięte, rozjaśniły się rzadkim widokiem słońca i uzłocone purpurą jego promieni, zdały się razem z ziemią odbywać gody braterstwa w godowych świątecznych szatach.

Jakkolwiek ze Sztokholmu do Kochinchiny kawał potężny drogi, zaproszę Was jednak na gody innego rodzaju, odbyte w dzień nowego roku u zamożnego Sa-lo-he, przypadający według rachuby Anamitów w Lutym.

Francuzki jeden oficer należący do wyprawy, Kochinchińskiéj, tak przedstawia miejscowość i szczegóły uczty, któréj był głównym i najbardziéj honorowanym gościem.

W stronach tych każdą chatę otacza żywy płot z olbrzymich kaktusów, niezmiernie miły dla oka, a silniejszy i trwalszy od muru, z kamienia lub cegły. Jak okiem zasięgnąć można wznoszą się banany, z szerokiemi liśćmi, wysmukłe palmy areaka, a cień tajemniczy rozpościera się wszędzie w pośród cudownéj zieleni i balsamicznéj woni kwiatów. Nie zważając na skwar południowy słońca, w cieniu pomarańczowych drzew kołyszą się kobiety i dziewczęta w wiszących matach, paląc cygareta lub żując betel. Przybywszy na oznaczoną godzinę zaraz po zachodzie słońca, już zastałem całe zaproszone towarzystwo, Sa-lo-he posiadający liczne stada bawołów, kilka tuzinów żon i prawdziwą armię dzieci, przyjął mnie serdecznie i wskazał jako dla niezwykłego gościa honorowe miejsce w samym środku okrągłego stołu, czyli po prostu dziurę szczupłą, ciasną i do tego bez krzesełka. Nie namyślając się a przytém oswojony z gimnastycznemi figlami, nie chcąc ubliżać grzeczności i uprzejmości gospodarza, szusnąłem, i nagle znalazłem się jak w kleszczach, otoczony wazami, półmiskami i wszelką zastawą stołu, nie mogąc zrobić najmniejszego poruszenia, ani podnieść się, ani wykręcić i nadto zmuszony siedziéć na piętach, skurczony, jak na pokucie, podobny więcéj do kamiennéj figury, niż do uczestnika wesołéj i obfitéj uczty. Byłem więc jak na torturach, a kurcze sądziłem, że mi połamią kości w nogach. Z początku wzgląd na przyzwoitość nakazał mi cierpliwie znosić męczarnie kochińchińskiéj etykiety, w duszy tylko przeklinałem i względy gospodarza, i moją ciekawość turysty. Boleści jednak kurczowe przemogły wszystkie inne względy i nie myśląc już dłużéj, stanąłem wyprostowany w pośrodku stołu z zamiarem wyskoczenia za gościnne progi poczciwego Sa-lo-he. Ale w téj chwili ręce wszystkich biesiadników znalazły się na moich ramionach, z uprzejmą prośbą pozostania w miejscu, które naiwni kochinchinczycy sądzili, że przez skromność chcę opuścić.

— Puszczajcie mnie hultaje, zawołałem wreszcie zniecierpliwiony, bo jak którego wytnę.....

— Falansi tszan-tszan tan clam, zawołano zewsząd, czyli: Francuzie, bądź jak u siebie, wszak ci tu dobrze.

— Niech was porwą..... mruknąłem i przekonany że wszelka obrona była daremną, otoczony okrzykami: tszan-tszan! tan klam! usiadłem na ziemi wyciągając nogi i zrzucając na ziemię jednocześnie kilka półmisków z rybami i drobiem. Huczny nagły śmiech, jak wystrzał armatni, wybuchł z ust wszystkich zgromadzonych, pewnych że siedzenie na ziemi na skorupach i mięsiwie, należy do zwyczajów mego narodu.

Spodziewam się, że po takiéj próbce od opisującego Francuza, odejdzie raz na zawsze ochota do zajmowania honorowych miejsc, nic jednak prawdziwszego, jak przysłowie: co kraj, to obyczaj. W Syamie bowiem życie społeczne, towarzyskie, zupełnie nie istnieje, etykieta zaś nie wszystkim dozwala siedzenia, i tam gdzie starszy ma prawo do tego, niższi rangą w obecności wyższych rangowców, muszą leżéć na brzuchach.

— Kiedy znajdowałem się w Syamie, powiada jeden z podróżników, z wielkim podziwieniem znalazłem wszystkie świątynie przepysznie i bogato ozdobione, a domy mieszkalne skromne prawie ubogie. W pomieszkaniu pierwszego ministra wszystkie sprzęty były wyrobione z drzewa i do tego z największą prostotą, jakby toporem i kozikiem. Całą ozdobę stanowiła waza bronzowa i kufer czarny lakierowany, srebrem okuty. Dostąpiwszy zaszczytu przedstawienia saméj pani ministrowej, ujrzawszy ją.... ledwo nie parsknąłem głośnym śmiechem. Wyobraźcie bowiem sobie, postać, wysoką, cienką z policzkami kościstemi, z nosem płaskim, z głową zupełnie ogoloną, ozdobioną tylko z przodu malutkim czubkiem włosów, z ufarbowanemi zębami hebanowo, ustami krwawo

czerwono, z twarzą pomalowaną indyjskim szafranem na żółto, przytém ubraną w długą bez żadnych fałdów suknią i w chustkę na szyi także żółtą. Zobaczywszy tego cudaka z najpoważniejszą miną przybliżającego się do mnie, pewny że to warjat lub warjatka, już miałem drapnąć, kiedy na szczęście, widok padającego na brzuch mego przewodnika, przez uszanowanie dla jaśnie ministrowéj przywrócił mi pamięć i przytomność.

Oddawszy ukłon zwyczajem europejskim, przez tłumacza oświadczyłem zadowolenie z poznania tak szanownéj damy, choć wymalowanéj, wygolonéj i wyżółconéj. Zbudowany tą szczerością cywilizacji nazywającéj kłamstwo etykietą i dyplomacją, w kilka sekund opuściłem dostojną ministrową, ledwo mogąc powstrzymać chętkę, pociągnięcia za czubek włosów sterczący jéj nad czołem.

Na podwórzu powitany zostałem muzyką, złożoną z dwóch harmonijek, dzwonków, fletu, szałamai, bębenka i kastaniet. Naprzód zagrzechotały kastaniety, późniéj ozwały się szałamaje, a za niemi dopiero cały chór instrumentów melodją dosyć zgrabnie ułożoną.

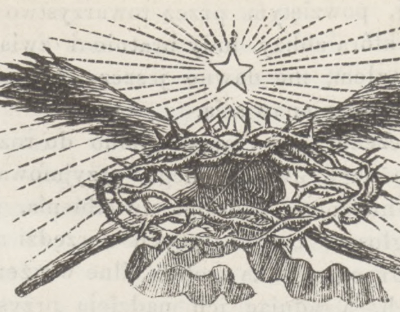
O wdzięku kobiet trudno cóś powiedzieć, bo każda jak najtroskliwiéj stara się, malowaniem przemienić w koczkodona. Największą ich rozkoszą, przyjemnością i rozrywką, jest pływać po piętrzącéj się bałwanami odnodze morskiéj, lub z wiosłem w ręku pędzić na czółnach od brzegu do brzegu. To téż wszystkie Syamskie niewiasty, pomalowane co prawda cudacznie, ale z budową fizyczną tak pięknie rozwiniętą, jakie mało gdzie spotkać mi się zdarzyło. To nie smukłe, wiotkie i delikatne nasze piękności, co piękne jak kwiat i jak on silne i trwałe.

SZARADA.

Pierwsze znane jest w muzyce,
Drugie trzecie, w botanice
Dobrze znane nam owoce;
Wszystkie kiedy ciemne noce,
Oświecają nam ulice,
Przez oleje i świece.

A. T.

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Orlean**).



Wyczerpaliśmy już wszystko pod względem mody, niech więc czytelniczki nasze nie mają nam za złe jeżeli je znudziemy powtarzaniem tego co już wielokrotnie powiedzianém było. Taka prostota panuje dziś w ubraniu, że suknia bareżowa jaką dawniéj noszono na codzień, wydaje nam się bardzo strojną. O jedwabnych nie ma co mówić nawet, bo ich nie widać ani w magazynach ani na ulicy.

W magazynie panien Kuhnke uważaliśmy kilka pełnych gustu sukien zupełnie odpowiednich na obecną porę. Nadzwyczaj staranne odrobienie, stanowiło najgłówniejszą ich ozdobę.

Jedna z nich czarna bareżowa, miała wolant nadpowietrzny, wązki z tyłu na ćwierć łokcia, z przodu rozszerzony prawie na łokieć, przez co garnirowanie tworzyło jeden wielki ząb. Dół spódniczki zakończała ruszka bareżowa, druga taka szła nad wolantem. Stanik gładki, wysoki, z wykrojoną podszewką, wygarnirowany był ruszką bareżową, która odznaczała na niém jakby stanik szwajcarski. Rękawy wolne kończyły się u ręki ruszką, pod niemi dane były w górze bufowane krótkie rękawki bareżowe. Szarfa z bareżu zakończona ruszką, spadającą z tyłu dopełniała ozdoby.

Z codziennych sukien, ładna była czarna perkalikowa, w drobne kwiateczki białe. U dołu kończył spódnicę wolant nadpowietrzny, szeroki na pół łokcia, nad nim dana była pliska ukośna z tegoż samego perkaliku, ułożona tak, że deseń tworzył jakby girlandkę, pliska ta z obu stron przystębnowana była białym jedwabiem. Miejsce stanika zastępował krótki paletocik wcięty do figury, przybrany wkoło pliską, z przodu spięty na sześć guzików lawowych, z obwódką stalową. U dołu paletocik rozcięty był tak w tyle jak po bokach, i na każdém rozcięciu naszyty w rząd trzema guzikami. Rękawy ścięte do łokcia, przybrane były odpowiednio.

Inna suknia perkalikowa, w białe paski podłużne, miała u dołu marszczoną falbankę na pół

ćwierci, z wypuszczoną główką. Paletocik wcięty do figury, objęty był pliską, spięty na stalowe guziki. Rozcięcia po bokach i rękawy, stosownie były przybrane, pliską i guzikami.

Staniki postyljońskie ciągle się utrzymują, ładna to moda zwłaszcza dla młodych panienek. Widzieliśmy u panien Kuhnke, suknię czarną z koziéj wełny (*poil de chèvre*) w delikatną białą krateczkę, z takimże stanikiem, zakończonym z tyłu jedną klapą. Przody stanika oznaczone były plisą z czarnego kamlotu', przystębnowaną z obu stron białym jedwabiem. Nad klapą szły z tyłu dwa guziki czarne ze stalową obwódką. Przód spinał się na rząd takichże guzików. Po bokach spódniczki szły kieszonki owalne, zakończone u spodu w ząb, otoczone wkoło pliską czarną. Rękawy nie szerokie, otwarte obłożone były również plisą, przechodzącą przez środek do ramienia.

W magazynie pani Klementyny, zwrócił uwagę naszą, ładny kapelusz czarny z gęstéj gazy (*gaze-iris*) wygarnirowany na wierzchu ronda białą i czarną blondyną w drobne fałdki. Podpięcie nad czołem składało się z delikatnego wrzosu, pomięszanego z czarnemi jagodami.

Ładna téż była kapotka, czarna mantynowa, przybrana na środku wielką rozetą z wstążki czarnéj; brzeg ronda klarowny nagarnirowany zwierzchu podwójną białą illuzją, układaną w fałdki, i czarną koroneczką. Karczek jedwabny takiż sam miał garnirunek. Podpięcie składało się z białéj i czarnéj blondynki, pomięszanéj z owsem czarnym.

Nowości Zagraniczne.

Le moniteur de la mode. Spostrzegamy z zadowoleniem, że letnie tualety wiejskie, lub spacerowe, wykończone przez najlepsze magazyny, odznaczają się wielką prostotą garnirowań, zostawiając wyszukane ozdoby, strojném sukniom wieczorowém. Suknie z pewnych tkanin, na przykład: mohair, alpaga, meksykanka, pika i *toile de lin*, przybierają się skromnie szerokim po prostu obrąbionym wolantem, albo układaną w fałdziki ruszą.

Fulary w tysiące pasków, bardzo są poszukiwane. Można z nich mieć zarówno ładny prosty ubiór, albo strój wykwintny. Sposób zrobienia stanowi całą różnicę.

Widzieliśmy w Kantorze Indyjskim na bulwarze Sewastopolskim, pod N. 129 wielką ilość rozmaitych takich fularów. Życząc sobie, skromnego ubrania robi się z nich suknię gładką, ubraną tylko frendzlą siatkową (*effilé*), wkoło peleryny zwanéj *camail*, frendzlę siatkową zastępuje się inną stosowniejszą do tego. Chcąc aby suknia była strojną, zdobi się ją ruszami, plisami ze wstążek i tak zwanemi *chicorées*.

Fulary w rzut z drobnych kwiatków taki sam mają pozór i ubierają je zwykle tak samo.

Na ubranie wieczorowe używa się fularów gładkich ubieranych koronkami, z których tworzą się tiuniki lub faliste wolanty; stanowczo przecież ten rodzaj materji ma wielkie powodzenie, a magazyn Indyjski obfituje w wielki ich zapas w najświeższym guście.

Koszulki i kanzuty białe batystowe lub muszlinowe haftowane czarną włóczką, bardzo dobrze w téj porze przypadają do ozdoby. W każdym razie jest to drobnostka toaletowa, pełna wdzięku wytwornego smaku.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia jedwabna naszyta u dołu szerokim wolantem w zęby i ruszą zakończoną z boków wązką gipiurą. Przedni bryt ubrany w kształcie fartuszka plisami, ruszą i gipiurą. Stanik gładki garnirowany falbanką. Rękawy otwarte ubrane ruszą. Rękawki muszlinowe obszyte koło rękikoronką. Burnus aksamitny. Kapelusz krepowy przystrojony piórami.

Figura 2. Suknia czarna jedwabna, ubrana kwastami szmuklerskiemi. Stanik z baskiną przedłużoną do bioder, objęty skośnym aksamitem i jedwabnym sutaszem. Z prawéj strony kieszeń oznaczona pliskami aksamitnemi nierównéj długości, z zakończeniem frendzlowém. Rękawy wązkie przecięte od ręki do łokcia, objęte aksamitem i spojone guzikiem szmuklerskim z kwastem. Epolety ua rękawach z pasmanterji. Kapotka jedwabna ubrana aksamitem i piórami.

Ubranie chłopczyka 7-mio letniego. Bluza, majtki i kamasze z lekkiego sukna, obszyte na wszystkich szwach wązką taśmą. Kołnierzyk i rękawki webowe. Krawatka jedwabna.

DONIESIENIA KSIĘGARSKIE.

KSIĄŻKI DLA LUDU

WYDANE NAKŁADEM

Redakcji Gazety Rolniczéj.

1. *Katechizm rolniczy* dla młodzieży wiejskiéj przez Wincentego Darowskiego, (Wydanie 2.) Warszawa, 1861. . . . . Złp. 3.

2. *Nauka obyczajowa* dla ludu wiejskiego, podług księdza Grzegorza Piramowicza, wydana na nowo w 1862 roku w Warszawie, gr. . . 20.

3. *Powieści dla ludu*, przez Jana Kontrymowicza z trzema obrazkami, Warszawa 1862 złp. 1.

4. *Kalendarz* czyli *Noworocznik*, dla ludu Polskiego, z wieloma obrazkami, na rok 1863 (wydany w Warszawie). . . . . złp. 1.

5. *Włościanin Polski* czyli gospodarstwo wiejskie, wyłożone na pytania, dla użytku mniejszych gospodarstw i szkół rolniczych, przez Zygmunta Gawareckiego. Warszawa, 1862 złp. 6 g. 20.

6. *Komornica* czyli tajemnice z życia wiejskiego, przez Walerego Wielogłowskiego, (wydanie 2.) Kraków, 1862. . . . . złp. 5.

7. *Pszczolarz Polski* czyli przewodnik praktyczny w zajęciach pasiecznych, zastosowany do potrzeby pojęcia braci z ludu, przez Józefa Znamirowskiego, z 64 obrazkami, cena złp. 10, (pod prassą).

8. *Drobnostki gospodarskie*, przez Józefa Gluzińskiego. Warszawa, 1860 r. . . . . złp. 4.

9. *Obrona świętéj Częstochowy*, przez Józefa Szujskiego. Warszawa 1863 . . . . gr. 6.

Wszystkie te książki kosztują złp. 31 i groszy 16. Redakcja jednak *Gazety Rolniczéj*, tak dla swoich prenumeratorów, jako i dla prenumeratorów *Tygodnika Mód*, mianowicie dla tych co wprost wszystkie te dzieła wypiszą, przez pośrednictwo nadesłania pieniędzy do Redakcji, zniża ceny te na rs. 4 i jeszcze własnym kosztem przesyłkę uskuteczni, czyli że obniża cenę o 1/3.

Stereoskopy i Fotografje.

Księgarnia i Skład nut muzycznych, *Józefa Kaufmanna*, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście N. 71, wprost Resursy Obywatelskiéj, otrzymała znaczny dobór tak Stereoskopów jak Widoków tychże.

Stereoskopy machoniowe z reflekterem kosztują od rs. 12, do 16. Stereoskopy składane w kształcie pugilaresów i reflekterem lustrzanym złp. 40.

Widoki stereoskopowe, Miast Europejskich jak Paryża, Londynu, Berlina, Madrytu, Wiednia i innych są za sztukę w cenie od groszy 20 do złp. 3 gr. 10.

Widoki schwycone z życia (vues animées), po złp. 1 gr. 10 sztuka. Grupy kolorowe i czarne od złp. 2 do złp. 4.

Widoki Warszawy, po złp. 3 gr. 10. Widoki przezroczyste, (transparents) od złp. 2 gr. 20 do złp. 4 gr. 15. Widoki na szkle czarne i kolorowane, po złp. 10, Daguerotypy kolorowane po złp. 12. Widoki wystawy Londyńskiéj, Japonii Chin, po złp. 4. Skrzynki machoniowe, na 50 sztuk widoków złp. 13 gr. 10.

Stereoskopy do biletów wizytowych, zwane migrophore, od złp. 6 gr. 20 do złp. 10. Fotografje znakomitéj ilości tak tutejszych jak i zagranicznycq po złp. 1 gr. 20 sztuka. W większéj ilości brane, taniéj są liczone.

Fotografje większe, a mianowicie: Kopie z obrazów sławnych malarzy, sztuka po złp. 5. Fotografie z tutejszéj Wystawy po złp. 6 gr. 20. *Albumy* do fotografii od złp. 3 gr. 10 do złp. 150. Fotografie w kształcie marek pocztowych po gr. 10. Albumy do tychże od złp. 5 do złp. 20.

W Redakcji Tygodnika Mód można nabyć:

—*Książkę do nabożeństwa dla wieśniaków*, ułożoną przez Janka z Bielca, z dwoma rycinami, w oprawie mocnéj ozdobnéj, za złp. 2 gr. 15; kupującym egzemplarzy 10 przesyłka nastąpi kosztem Redakcji.

—*Modlitwę poranną* Janka z Bielca, po zniżonéj cenie, egzemplarz za gr. 10.

—*Obrazek Matki Boskiéj Częstochowskiéj*, sztuka gr. 3

—*Alfabet duży i mały* do uczenia liter, arkusz gr. 3.

Kupującym za złp. 10 ostatnich trzech wydawnictw, Redakcja takowe kosztem swoim prześle.

Płótno czysto-lniane, webowe, kopowe i inne rozmaite gatunki, jakotéż grube, także drelich na worki. Worki gotowe różnéj wielkości, obrusy, astrachania, rewenduk, i płócienka dla Szpitali nadeszły świeżym transportem do składu mego za Żelazną Bramą, w domu N. 978 gdzie Zajazd Sandomierski, które sprzedaję po cenie stałéj i przystępnéj. *H. Gezundheit.*

KORRESPONDENCJA.

Panu W. N. w Z. Pieniądze na prenumeratę Tygodnika Mód, można przesłać za pośrednictwem którego księgarza.— Panu Wł. Płot. w Trosteńcu. Tygodnik Mód zaprenumerowano kosztem naszéj Redakcji, stosownie do listu jego przysłanego do Expedycji Gazet.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K.Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK



TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Dodatek do Nru 30 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 25 Lipca 1863 roku. *13 Lipca.*

STARY MOTYL.

WSPOMNIENIE PRZEZ M.......

Nudna też nudna, ta wasza okolica, mówiła młoda, świeża bronetka — nawlekając leniwo igłę — i spoglądając do koła okiem, nie zdradzającém bynajmniéj zadowolenia. Od miesiąca już tu jestem — i kogóż widziałam? tę napuszoną indyczkę panią L. któréj zdaje się, że od niedawna zyskana nazwa obywatelki, i niepomierna tusza dają już prawo do trzymania głowy wyżéj od innych i rezonowania bez sensu? Albo tę świergotliwą kokoszkę panią S. w któréj głosie tyle jest dyssonansów że słuchać ją godzin parę mówiącą, jest to wziąść lekarstwo na rozdrażnienie nerwów. Kogóż więcéj? — a! prawda; panią G. tę nieszczęśliwą na wieczne ach! i och! skazane od losu istotę — tę egzaltowaną spazmatyczkę bez przyczyny, tę...

— A! dajże już pokój biednym naszym sąsiadkom moja Helenko, bo chociaż i ja nie powiem żeby tu u nas bardzo było zabawnie, jednak przywykłam do miejsca, do ludzi, którzy nie zdają mi się tak bardzo śmiesznemi, odpowiedziała na wpół z uśmiechem, biało-różowa blondynka. — A potém spojrzyj do koła, jak tu ładnie, jak miło — i wierz mi, że kiedy wiosna zazieleni te wzgórza, zapominam o braku towarzystwa, i cała z naturą, z myślami mojemi spędzam pod tą lipą długie godziny, samotna również dobrze — a może i lepiéj — jakbym je w liczném kółku sąsiadów przebawiła.

— Tak, tak, poetyzuj Maryniu, ile ci się podoba, ja cię słucham chętnie — ale pod warunkiem, że czasem tylko i to w połowie uwierzę — a po większéj części śmiać się z ciebie będę, że zagiąwszy sobie parol na samym wstępie w życie, by zostać marzycielką, tyle wmówiłaś w siebie ową rolę, że dzisiaj, zdaje ci się, jakbyś nią była na prawdę, i drugich jeszcze chciałabyś zdurzyć. Ale ze mną to nie tak łatwo, moja pani, bo powiedz mi tylko — a to bez wszelkich ogródek i zwrotów, czy ty chcesz iść za mąż? — i przy tych wyrazach, spojrzała przenikliwie w oczy swéj towarzyszki, która niespodzianie w ten sposób zagadnięta, niepewno rzekła:

— Ale do czegóż to pytanie?...... Helenko..... ja ciebie nie rozumiem — cóż za związek.

— A ja ciebie prosiłam o prostą, o najprostszą odpowiedź — po czém wytłomaczę ci się. Więc Maryniu, jeszcze raz się pytam, czy wolisz iść za mąż, czy pragniesz — choćby dla ciebie anioł z nieba zstąpił — pozostać tak, jak dziś jesteś szczęśliwą?

— Wiesz już o tém Helenko, że gdybym znalazła człowieka, któregobym kochać mogła......

— A więc mam cię w sidełkach mój ptaszku kochany, zawołała, śmiejąc się serdecznie Helena. A teraz, powiedz mi jeszcze, który z dwóch obrazków życia, zdaje ci się podobniejszym do prawdy, słuchaj! — i zaczęła prędko deklamować: „Jednego z owych czarownych dni wiosny, na jednym z owych zielonych wzgórków — nagle, niespodzianie, ukazuje się wędrowny rycerz gnany tesknotą pragnącego kochać serca, idzie w świat, by odszukać duszy, swojéj duszy. Przeczucie zawiodło go w te strony; ujrzawszy cię tam — pod témi lipami — w białéj sukience, z zadumką na twarzy, staje zdumiony — wylękły:... „ta albo żadna" zawoła! — zwycięża burze, łamie przeszkody, staje się wreszcie dla ciebie owym wyczekiwanym z obłoków!?" A cóż? czy nie wzniosłe nie śliczne — nie poetyczne może?

„A teraz obraz drugi: Okolica w jakiéj mięszkasz jest ludna, wesoła, sąsiedztwa liczne, panienek i młodzieży dosyć, wszyscy się znają i odwiedzają wzajemnie. — Każda niedziela, święto jest hasłem do zebrania coraz w innym domu. Jaki taki ma brata, kuzynka, przyjaciela — wszystko to słysząc o przedziwnéj harmonii sąsiedzkiéj, choć zdala nawet, od czasu do czasu zjeżdża, robią się znajomości, zawiązują stosunki, wywodują sympatye — i koniec końców, choćby téż najwybredniéjsza, w ciągu lat kilku natrafić może na swój idealik.

— No! teraz rozumiem, odrzekła na tę drugą tyradę Marynia, skazujesz mię więc w Jedłówce na nieuniknione stałe panieństwo! A wreszcie... choćby i tak!...

— A naturalnie! przerwała trochę drwiąco Helena — poetka do grobowéj deski zostanie poetką, w duszy swéj czerpiąc pokarm dla serca i myśli. Szczęśliwa istoto! któréj ja niestety, nieznośna prozaiczka, w żaden sposób pojąć nie mogę! Daj mi daj cząstkę tego talizmanu, który cię ogrzewa w śród chłodu, darzy nadzieją wśród przerażających pustek!....

— Ja ci dam.... ale... klapsa — za te żarty ze mnie i z moich sąsiedztw, przerwała wesoło Marynia: a potem dodała przecież one nie wszystkie tak nie zajmujące. Cóż powiesz o Mirolaskich?

— W każdéj regule znajdziesz wyjątek przecie, pamiętaj że nas tego w gramatyce uczono. Chociaż, oddając wszelką sprawiedliwość paniom, nie mogę nie powiedzieć, że ten zimny i sztywny Adam, nie tylko u mnie ale u ciebie nawet lepszą zyskałby opinję gdyby chciał pomnieć w rozmowie z kobietą, że bawić ją wiecznie Palmerstonem i Meksykiem — jest to zyskać sobie gotowy przydomek nudziarza....

— A nie dobra! gdyby Cię słyszał, nie uraczyłby nas jutro z pewnością! ni jedną wiadomością, on, co ich zawsze porządną torebkę na usługę sąsiadów nazbiera. — Bo wiedz, że tam jedziemy.

— Zgoda, ale pamiętaj, że jak zaczniecie zbytecznie się rozszerzać w tym ciężkim i nudnym przedmiocie, ja piérwsza powiem, że już dosyć. Bo ty tylko udajesz, że cię to zajmuje — a potém skarżysz się.....

Na tę żartobliwą groźbę Marynia odpowiedziała już tylko spojrzeniem niedowierzania, bo przybycie matki nadało poważniejszy obrót rozmowie.

ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz — była to niedziela — po nabożeństwie odbytém w sąsiednim kościołku, w parę godzin po obiedzie — wyruszyły panie z Jedłówki w odwiedziny sąsiadów.

Rodzina państwa Mirolaskich składała się z matki staruszki, córki panny już niemłodéj— i syna, który także więcéj niż czterdziestkę liczył. A jednak, był to dom tak miły, tak umiejący zabawić, ugościć. że każdy, z przyjemnością tam dążył, będąc pewnym miłego i serdecznego przepędzenia czasu.

Zawsze tam prawie zastać można było kogoś z sąsiadów bliższych lub dalszych; mówiono o wszystkiem, rozbierano najważniejsze kwestye, obok bieżących nowinek okolicy; studjowano życie, szperano w polityce, przerzucano w modach jedném słowem, jak kto chciał i umiał, tak się bawił — a państwo Mirolascy przy średniém mieniu obywatelskiém cieszyli się oddawna opinją i stosunkami, jakich pozazdrościłby im niejeden świeżo zbogacony dorobkowicz. Jak się to stało, że w takich warunkach życia, młodzi nie znaleźli dla siebie odpowiednich partyi trudno wiedzieć. Mówiono wprawdzie, że pan Adam gonił kiedyś za pannami wysokiego rodu—i ta pretensya właśnie miała ozdobić w grochowy wieniec jego dobrze już szpakowatą czupryne. Panienka zaś, jakkolwiek bardzo starannie wychowana, ładnie ukształcona, gospodyni praktyczna, ale nieładna, i niebogata, znalazła się podobno w tém trudném położeniu co to: ubogi nie śmiał — a bogaty nie chciał.

Zdaje się, że wymaganiom tonu, poświęcono szczęście przyszłości.

Marynia, pomimo różnicy wieku, lubiła bardzo towarzystwo panny Justyny, która, daleka od pretensyi zwykle starym pannom zarzucanéj, od zaniedbania również daleka — była tak miłą, tak naturalnie i uprzejmie wesołą, tak na swojém miejscu, że najostrzejszy nawet krytyk nie miałby co przyganić. Pana Adama towarzystwo lubiła także Marynia. Z uwagą słuchała jego rozpraw i moralnych sentencyi, starannie zbierała tego rodzaju wiadomości aby w danym razie popisać się przed nim swoją nie dla kształtu główką; a widząc ich nie raz tak szczerze zagawędzonych, mógłby, jaki taki z pozoru rzeczy biorący, cóś sobie powróżyć. Ale tylko sobie, bo między niemi — dziwnie jakoś bywało.

Dopóki rozmowa kręciła się w poważném kółku ogólników, dopóki obrabiano kwestye jak najdaléj osobistości tyczące, dopóty wszystko było dobrze. — Marynia gotową była dzień i noc przegwarzyć. Ale niechnoby p. Adam, co mu się wprawdzie rzadko i to w przystępie szczególnie dobrego humoru trafiało, potrącił przypadkiem o jakąś drażliwą stronę serca, wmięszał do rozmowy cóś naksztalt poezyi, sympatyi lub t. p. nie wiem, czy mu z tém nie było do twarzy, dość że Marynia raptem ucinała rozmowę, kończąc ją, albo żartem z niezwyczajnegn obrotu gawędy, lub co gorzéj, sarkazmem, który przedłużał i tak już długą fiziognomję p. Adama o jeszcze ćwierć łok-

cia — i *lodowacił* go znowu na długo. Od niedawnego zaś czasu zauważyć można było, że starał się gorzko odwzajemnić Maryni za jéj przymówki. Więc coraz częściéj i z większym przyciskiem rozprawiał o wybujałych marzeniach dzisiejszych niektórych kobiet, o niepraktycznych rojeniach ich serca, które wyczekują ideałów jakich w świecie nie ma, o krzywem, spaczoném pojęciu powołania i t. p. Ale — wszystkoto nie przeszkadzało do wzajemnych odwiedzin i zjazdów, zawsze pożądanych i wyglądanych jednako.

Otóż i teraz, wybiegł ochoczo p. Adam, aby wysadzić damy z wolanta; a że to był dzień jasny i piękny, więc i pogoda niepomału wpłynęła na dobre usposobienie humorów. To też żartowano i śmiano się na samym wstępie, a téj powitalnéj scenie, prócz obecnych na ganku, przypatrywało się i przysłuchiwało jeszcze jedno indywiduum, skryte za firankę okna jadalnego pokoju. W prawdzie Marynia i Helenka jednym rzutem oka spostrzegły wysiadając jakąś twarz nieznanego mężczyzny, który jednak, zrobiwszy piérwszy rekonesans przybyłych, uważał za stosowne na bok się usunąć o tyle tylko przecież, aby niewidzialny mógł sam spostrzezenia robić, i do nich swe późniejsze kroki zastosować.

Zaraz też wybiegła i p. Justyna, prosząc przybyłe damy do pokoju do mamy, która od lat kilku już słaba, fotelu prawie nie opuszczała.

Rozmowa, jak to zwykle na wsi, zaczęła się od gospodarstwa, i długo na ten temat toczyła, bo panienki zaintrygowane trochę nieznajomym, machinalnie tylko do niéj należały, patrząc rychło się drzwi otworzą, a blada twarz, i czarne oko zaświeci promieniem — nowości. Ale mijały chwile jedna za drugą, a ten Ktoś—nie zjawiał się przecież.

Żeby choć wiedzieć, kto to taki! myślały sobie obiedwie, i zgadując wzajemnie swe myśli, spoglądały z uśmiechem jedna na drugą.

I znowu pretensya w duszy do p. Adama. A! bo to ten nieznośny pedant, żeby też nie domyśleć się, nie powiedziéć, kogo ma u siebie! i patrzyły nań niechętnie, lub zamyślone słuchały jego obliczeń tegorocznych zbiorów.

Nareszcie p. Justyna zaproponowała przechadzkę.

Panienki ochotnie z miejsc ruszyły — spodziewając się, że tam może prędzéj wyjdzie na jaw zagadka, ukaże się wreszcie przedmiot ich ciekawości. Ale napróżno, przeszły ogród raz, drugi i trzeci, nie spotkały nikogo.

Panna Justyna nawet, jakby w zmowie z bratem, najgłębsze milczenie co do swego gościa zachowywała.

— E! to już nic innego tylko zapewne jaki nowo przyjęty pisarz lub ekonom — było też nad czém głowę sobie łamać! pomyślały panienki, i rozweselone tą myślą, jakby im ciężar jaki spadł z głowy, z swobodniéjszém już usposobieniem wracały do salonu.

Ale zaledwie weszły i zajęły swe miejsca p. Adam odezwał się z niechcenia.

— Muszę paniom przedstawić naszego samotnika, który nie wiem dla czego, tyle czasu się stroi. Zapomniałem bowiem paniom powiedziéć, dodał powoli, że mamy gościa, kolegę mego szkolnego, Lucyana Girtenfelda. Zaraz go tu paniom sprowadzę.

I wyszedł — a za chwilę powrócił, prowadząc pod rękę mężczyznę, nie wiele może od siebie młodszego, który prócz wysokiego wzrostu odznaczał się nadzwyczajną bladaścią twarzy, szczególnie odbijającą przy kruczym kolorze włosów. Ale ten opis, na cóś interesującego doprawdy zakrawa, a jabym nie chciała, żebyście go sobie moje Czytelniczki pięknym wystawiły: przeciwnie, była to jedna z tych płaskich fizionomii, w których wszystko, niby foremne a przecie pospolite, gdzie oczy duże i czarne patrzą ale bez wyrazu — usta smieją, ale ten uśmiech, nic wam i nic nie powie, gdzie całą twarz trudno nazwać brzydką a przecież miałoby się ochotę ten przydomek koniecznie obok niéj położyć.

Pan Girtenfeld wiedział o niekorzystném wrażeniu, jakie piérwszy pogląd na niego wywołuje— to też szukał innego klucza do otwarcia sobie drogi do serc ludzkich, zwłaszcza, że jego wzięcie się, ułożenie i rozmowa, miały na sobie cechę pewnéj szlachetności, jednającéj mu często wrażenie, jakiego nie jeden maseczkowatéj piękności dandy, napróżno starałby się dobić.

Zdaje się, że dziś chciał być jesze więcéj jak zwykle zajmującym: znać, za piérwszém spojrzeniem, osądził Panie przybyłe godnémi wszelkich możliwych z swéj strony wysileń, aby otrzymać nazwę choćby tylko miłego człowieka. A kiedy kobieta, powie o kimś z pewnym wyrazem uniesienia, że miły — to podobno znaczy, że w przyszłości, przy dobrych chęciach, i drogim z łatwością się stanie. Nie wiem, czy p. Girtenfeld byłby skłonnym, tak dalekie zamarzyć nadzieje, czy też zwyczajem większéj części mężczyzn — osobliwie miastowych — rad był każdemu spojrzeniu, co na korzyść jego przemawiało, dość że po przedstawieniu, i pełnym uszanowania ukło-

nie, chciał właśnie odezwać się z jakim elegancko-brzmiącym frazesem, gdy p. Adam pospieszył go uprzedzić:

— Czy też Panie zgadną, dla czego mój kolega wyrzekł się aż dotąd przyjemności ich oglądania? Zapytał z trochę złośliwym uśmiechem — i nie czekając odpowiedzi — nie patrząc na p. Girtenfeld, który mimo wszelkich usiłowań ułożenia swéj fizionomii w wyraz jak najprzyjemniejszy potężnie się skrzywił — dodał wesoło. On mówi, że go głowa bolała, lękał się więc swém zachmurzoném obliczem, złe wrażenie wywołać, ale to wykręt po prostu. Ja paniom powiem, ale pod wielkim sekretem, że Lucyan, ma jeszcze pretensyę do młodości! i podobania się. Ile razy więc ma się przedstawić damom młodym, i ładnym do tego, przez godzin parę naprzód używa, odświeżającego wpływu Prysznica. Damy się uśmiechnęły na to oskarżenie, a obwiniony, nie rad widać téj żartobliwéj, a przecież tchnącéj prawdą opowieści — odrzekł z pewnym niesmakiem:

— Bzdurzysz — bzdurzysz Adamie — a nie wiem zkąd ci się to doprawdy wzięło? Ty taki mruk w dzień powszedni. Nic innego — ma parole, dodał ożywiając się — tylko paniom trzeba zawdzięczyć ten prawdziwie angielski humor mojego przyjaciela. I ja na tém skorzystam, bo w tak ogólnie wesołém i miłém towarzystwie, na godzin parę przynajmniéj, zapomnę o méj nieprzyjaciółce Warszawie.

— A to pan z Warszawy! ozwała się Helena i z taką goryczą o niéj wspominasz, to niewdzięczność doprawdy dla swojéj karmicielki, za którą warto, by go los ukarał — i nigdy już do niéj nie wrócił. — A tęskno byłoby — ręczę.....

— Tęskno? Pani! a do czegóż proszę! zawołał p. Girtenfeld patetycznie. Czy do tych murów, ziejących ogniem w lecie? Czy do tych ulic, bryzgających błotem w zimie? Czy do owego biura, darzącego jednostajną przez rok cały pracą. Czy do tych ludzi, wreszcie, których tłumy zamiast mię bawić przejmują smutkiem? Bo czemże oni dla mnie, a ja dla nich? Oni — massą, interresującą o tyle, o ile przelotne pada na nich spojrzenie — ja dla nich pyłkiem, który mijają, nie patrząc bo im wiecznie spieszno tam gdzie interes woła.

— O! wszak to dopiéro pan tło i ramy obrazu skreśliłeś — brakuje jeszcze treści, jaką tu właściwie stanowi każdy człowiek z swoją rodziną, swémi stosunkami, tworząc w tym wielkim świecie swój mały światek, mniéj lub więcéj dla siebie sympatyczny, mówiła Helena.

— J'en conviens Madame! ale niestety! kto tak jak ja, sam jeden na świecie, najwięcéj zmuszonym jest żyć na zewnątrz, ten pozna najlepiéj czczość życia miejskiego i nieraz ciężko i boleśnie, westchnie za matką naturą darzącą swe dzieci poezyą — swobodą....

— Ostrzegam pana — odezwała się Marya— że wpadłszy raz na ten temat dysputy, napróżnobyś szukał najracyonalniejszych dowodów, aby przekonać moją kuzynkę, bo ona stale i zawzięcie bronić będzie swych zasad — i miasta za nic potępić nie dozwoli. Wieczne z sobą mamy w tym względzie rozterki.

— Więc pani taką zwolenniczką miasta? zapytał p. Girtenfeld Heleny.

— Ja? rzeczywiście, lubię miasto i utrzymuję że życie nierównie w niém lżejsze, łatwiejsze pod wielu względami. Nie powiem, aby wieś, nie miała również swéj uroczéj strony, chociaż, trzeba podobno wiele warunków, aby te uroki poznać i ocenić się dały. — Co do swobody — każdy obowiązkiem skrępowany — zupełnéj nigdy nie posiada — a poeta? będzie nim wszędzie — nawet na skałach Islandyi.

— Poeta, zapewne — mais avouez, że zwykły sobie, prozaiczny człowiek, jak ja naprzykład, mówił p. Girtenfeld skłaniając pokornie głowę, potrzebuję koniecznie, aby się rozmarzyć, śpiewu słowika, woni pól i lasów, i spojrzeń czorodziejskich czystéj, niewinnéj jak sama natura dziewicy. Przy słowach tych wymownym rzutem oka objął obecne panienki.

— Zgadzam się tém zupełnie z panem, rzekła Marya, że życie prawdziwe może być tylko na wsi, gdzie wszystko na co spojrzysz podnosi ducha, idealizuje myśl człowieka, przejmując jego serce uwielbieniem i miłością ku Bogu. Nie wiem, jak kto żyć w mieście potrafi, gdyby mnie raz tam przeniesiono, jak Szwajcar za swym krajem tęskniłabym za mém wiejskiem ustroniem, kto wie nawet jak długo wegetowałabym tém przybranem istnieniem i może wprędce uschnąćby mi przyszło, jak egzotycznéj na mróz wyrzuconéj roślince.

(d. c. n.)